

Bracie! my czasy pamiętamy lepsze:
Teraz na ludzi wiatr powiał złowrogi,
Swarzą się, paplą, kto kogo dziś przeprze,
A do zwycięstwa nikt nie wskaże drogi.

O! znaną była nam obu ta droga,
Razem my bracie biegliśmy do mety!
A choć mnie czasem zachwiała się noga,
Tyś jeden widział upadek poety.



KORRESPONDENCYA.

Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej.

Od A. E. Odyńca.

Z ciekawością i zajęciem najżywszém odczytałem w przeszłym zeszycie Biblioteki Warszawskiej *Kronikę zagraniczną*, jak stary żołnierz zapewne odczytywałby relacyą o tém, co się działo w obozie przeciwnym, podczas odbytej dawno kampanii, w której on sam czynny brał udział. *Zwierzenia Ewuni*, opowiedziane przez jej przyjaciółkę, rozjaśniły mi wiele szczegółów i rzeczy, których się mogłem może w swoim czasie domyslać, ale nigdy wiedzieć z pewnością; tak jak i ona nawzajem nie wiedziała i nie wie dotychczas, co się działo w obozie naszym, którego (jak sama wspomina) ja byłem parlamentarzem—nie z poleceń Adama, ale z mego własnego natchnienia; traktującym nie z nią, ale z matką. Nie wiem pewnie na przykład, że jedynie to moje parlamentarstwo sprawiło, że nie wyjechaliśmy z Rzymu natychmiast po pierwszej dostrzeżonej zmianie w uprzejmości pana hrabiego, którą żona jego przezemnie usprawiedliwiła jako zwykły i częsty paroksyzm *spleenu*, wynikającego z choroby. Nie wiem, że ten projekt nagłego wyjazdu wznawiał się po razy kilka, i że raz już doszło było do tego, że musiałem zacząć pakować rzeczy, łamiąc głowę jak temu zapobiedz. I wtenczas to właśnie miałem ową rozmowę z matką, o której jest wzmianka w *Zwierzeniach*, a w skutek której zostaliśmy w Rzymie. Nie czuję się w prawie mówić tu o tém obszerniej. Zachowuję też imię „*Ewuni*,” chociaż sama autorka *Zwierzeń* wyznaje: „że świat inaczej przywykł ją nazywać,” ani śmiem zmieniać początkowej litery nazwiska, tylko że sam jej używać tu nie będę, i zastąpię ją trzema gwiazdkami. W publikacyi nawet listów moich z podróży,

pisanych do najbliższych przyjaciół, chciałem całkiem opuścić ten przedmiot; ale teraz, gdy *Zwierzenia* saméj Ewuni zwalniają mię z tego skrupułu, odsyłam do nich ciekawego czytelnika, w miarę jak kiedyś z kolei ogłoszone zostaną w „*Kronice Rodzinnej*.” Tutaj to jedno tylko powiedzieć chcę i powinienem: że jak nigdy cień żaden interesowanej rachuby nie skaził uczuć ani myśli Adama, tak pierwszy cień dostrzeżonych przezeń w tym względzie podejrzeń, był niestety pierwszą przyczyną owéj zimnéj i hardéj dumy z jego strony, którój wpływ, gdy już nie było komu jéj łagodzić, musiał téż wzajem oddziaływać jątrząco — i o to się wszystko rozbiło. Sprawiedliwość jednakże każe mi tu przytoczyć jeszcze jeden szczegół, jako rzucający niemałe światło na cały ten dramat, który *Zwierzenia* saméjże Ewuni wyprowadziły na widok i na sąd publiczny.

Rodzice jéj i ona sama byli w Dreźnie po wyjściu już na świat „*Pana Tadeusza*,” gdzie i ja się z niemi natenczas poraz ostatni widziałem. Ewunia sama wspomina, że jéj ojciec *bardzo* na mnie był łaskaw, a pamięć przyjaźni i zaufania matki i jéj saméj zaliczam do najdroższych wspomnień mego życia. Otóż hrabia raz-u jednego, gdyśmy byli sami wieczorem, ujął mnie za rękę, i rzekł: „No, cóż panie Edwardzie? Pan Adam opisał mnie w *Stolniku*.” — Zmieszałem się i nie wiedziałem co mam odpowiedzieć; a kiedy wreszcie chciałem coś wyjąkać, dodał: „Daj pokój! to już się stało. Gdybyś pan był przyjechał z nim na drugą zimę, możeby było inaczej. Każdy ojciec ma przecież prawo, żeby mu się o córkę *kłaniano*.” Mówiąc to był mocno wzruszony. Ile w tém było szczerości, ja nie wiem; ale powtarzając tę jego słowa, czuję, że spełniam obowiązek sumienia względem pamięci hrabiego. Kontrastują one zbyt ostro z przytoczonymi w *Zwierzeniach*, aby nie obudzać domysłu, że były wyrzeczone z intencją dopiero wtedy, kiedy już żadnych następstw wywołać nie mogły; ale téż bardzo być może, że hrabia znając zbytnią może otwartość swojej żony i jéj słabość dla córki, chciał się przed nią okazać twardszym niż był w gruncie duszy, i że względniejsze i miększe postępowanie z drugiejj strony, przy wpływie uczuć ojca i męża, mogłoby może w końcu usunąć przeszkody, które tylko nierówność majątku stawiła. Bóg wie jeden gdzie tu jest prawda; ale téż nie można nie przyznać, że i ojciec miał swoją słuszość.

Ale nie to jednakże jest głównym celem tego mego listu; idzie o rozjaśnienie lub sprostowanie kilku jeszcze szczegółów *Zwierzeń*, w interesie prawdy i osobistości Mickiewicza.

Pierwszym z nich, najznikomszym napozór, ale najważniejszym w istocie, ważniejszym może nawet nad wiele rzeczywistych wypadków w życiu poety, jest sen, sen *Ewuni*, wspomniany wprawdzie w *Zwierzeniach* (str. 455), ale naprzód mylnie co do czasu, a powtóre tak lekko i w takim tonie, jakby to był najzwyczajniejszy wypadek. Jeżeli sama *Ewunia* miała go za taki, znak to jest tylko, że nie musiała wiedzieć o sprawioném przezeń wrażeniu, i to

mi także tłumaczy, że mogła łatwo, po tylu latach, zapomnieć o niektórych szczegółach tej sceny, różniącej się nieco w jej opowiadaniu od tego, co mi o niej opowiadał sam Adam. Powtarzam bowiem, że w życiu Mickiewicza jest to wypadek tak wielkiego znaczenia, że w nim przyszły jego biograf może, a nawet powinien szukać klucza do rozwiązania zagadki wielu późniejszych stosunków i okoliczności jego życia, tych zwłaszcza, które ściągnęły nań tyle przeróżnych sądów i zarzutów, a między niemi i nazwę *mistyka*, w ujemnym tego słowa znaczeniu. Gdyż *mistycyzm* prawdziwy, to jest tajemniczość i cudowność, tak nierozdzielnie złączone są z wiarą, że bez nich sama najświętsza religia nasza byłaby tylko *nauką moralną*.

Autorka *Kroniki Zagranicznej* na str. 455 mówi: „Atmosfera tego domu (państwa ***), oddziaływała na Mickiewicza. Strona religijna, cokolwiek może przytępiona, silnie zadźwięczała w jego sercu.” — Jest w tém istotna prawda; i w jednym z jego poematów, scena dwóch młodych panienek, modlących się za nawrócenie nieznanego poety, jest odbiciem realnego faktu, o którym się autor, z mocnym wzruszeniem, z ust matki *Ewuni* dowiedział; to jest, że i sama *Ewunia* i kuzynka jej, panna Marcellina, postanowiły modlić się codziennie na tę intencją względem niego. Ale było to zaraz po poznaniu, w jesieni 1829 roku; stanowcza zaś przemiana w jego usposobieniu religijnem nastąpiła dopiero podczas drugiego pobytu jego w Rzymie, to jest w zimie między 1830 a 1831 rokiem. Jakie mianowicie przyczyny bezpośrednio wpłynęły na to, z pewnością powiedzieć nie umiem; sądzę wszakże, że towarzystwo i ścisła przyjaźń z księdzem Chołoniewskim, o którym zawsze ze czcią i tkliwie wspominał, najwięcej w tém miały udziału. Pytałem go o to nieraz, za spotkaniem się znowu w Dreźnie, w początkach 1832 roku, ale mi nigdy na to nie odpowiedział wyraźnie, mówiąc tylko w ogólności o *Lasce*, i że „*Spiritus Dei flat ubi et quando vult*.” Ale o śnie *Ewuni* mówił, a mówił w takiej chwili i w taki sposób, że zamiast osobnego opowiadania o tém, pozwolił, panie redaktorze, iż przytoczę tu wyjątek z listu mego do p. Lucyana Siemieńskiego, który właśnie niedawno, na żądanie jego, w tymże samym przedmiocie pisałem.

„Wszystkie zwykle wieczory (w Dreźnie) przepędzaliśmy razem we czterech: Adam, Garczyński, Domejko Ignacy i ja, albo u mnie, albo u Adama, który mieszkał naprzeciw przez wąską tylko uliczkę *Töpfer Gasse*. Razu jednego w marcu, mieliśmy zejść się u niego; ale tymczasem przed samym wieczorem powstała tak straszna burza, taki wichor, ulewa i grzmoty, że ani Garczyński, ani Domejko nie przyszli, ja zaś, chociaż tak blizki sąsiad, pozostałem na noc u niego, nie chcąc ani być sam w takiej burzy, ani jego samego zostawiać. Burza ta jest pamiętna w Niemczech. Nie wiedzieliśmy wtedy jeszcze, że to był dzień śmierci Göthego, ale sam wpływ takiej burzy i nocy oddziałał na nastrój rozmowy. Wspomnienia Rzymu i panny H. (*Ewuni*), stanowiły główny jej przed-

miot. Adam był mocno wzruszony. Chodził szybko i długo w krąg izby, puszczając gęste kłęby dymu z fajki, którą palił. Nagle rzucił ją na stół, a zbliżywszy się ku mnie, i wpatrując się we mnie tym swoim przenikającym wzrokiem, który i pan zapewne pamiętasz, rzekł: „Powieś tobie rzecz jedną—ale przysiąż, że póki ja żyję nie powtórzysz nikomu!”—Łatwo pojąć wrażenie, jakie to na mnie sprawiło. On zaś, to znowu chodząc, to zatrzymując się przedemną, opowiedział mi w sposób przerywany, to, co tu panu w treści memi słowy powtarzam. Po długiemu niebywaniu, poszedł na koniec do spowiedzi w Rzymie. Nie powiedział o tém nikomu. Poszedł do małego kościółka *fuori delle mure*, (nazwiska nie pamiętam), gdzie już przedtém nieznanego wcale sobie kapłana-staruszka na pewną godzinę zamówił. Powróciwszy do domu, z Tomaszem à Kempis w ręku, gotował się przez część nocy do świętej Komunii nazajutrz. Wprost z kościoła zaszedł, jak zwykle, do państwa ***. Ledwie wszedł, pani domu powitała go temi słowy: „Czy pan wiesz, jaki H. (Ewunia) miała dziś sen o panu?”—Panna H. porwała się z przerażeniem, chcąc zapobiedz dalszemu opowiadaniu matki, a gdy to było na próżno, zarumieniona i zalana łzami wybiegła do drugiego pokoju. Pani *** opowiedziała mu wtedy, że zaraz po północy córka obudziła ją mówiąc: „Ach! mam! jaki ja dziwny miałam sen o panu Adamie. Śnił mi się cały w bieli, w sukni jakiejś długiej do ziemi, i bawił się z białym barankiem, którego trzymał na ręku.”—Toż widzenie, téj samej nocy, powtórzyło się raz drugi nad ranem; poczem już panna H. resztę nocy spędziła na modlitwie i poszła na mszę pierwszą do bliźniego kościoła. „Gdyby piorun spadł u nóg moich, nie przeraziłby mnie tyle.” Są to własne słowa Adama, których niepodobna zapomnieć; a twarz jego tak była drgająca i blada, głos tak zmieniony i drżący, że podobnego wzruszenia nie widziałem w nim nigdy. W dalszej z tego powodu rozmowie, powiedział między innymi: „Gdybym poczuł, że powinienem, leżałbym krzyżem na środku kościoła, choćby po mnie wszyscy deptali.”

Panie redaktorze! Z przytoczenia tych słów mego listu, możesz pan zgadnąć łatwo, jak mnie ta rzecz głęboko obchodzi; a biorę Boga na świadka, że wszystko co w nich mówię jest prawdą. Wzywam więc szanowną autorkę *Kroniki zagranicznej*, aby raz jeszcze zapytała o to samą Ewunię. Ja mówię to tylko, co słyszałem z ust samego Adama; on mówił, co słyszał od matki. A i rzecz sama z siebie godna jest ze wszech względów jak najściślejszego wyjaśnienia. Mam przeto nadzieję, że szanowna autorka *Kroniki*, na to moje wezwanie, w piśmie też pańskiem odpowiedzieć zechce.

Przechodzę do sprostowania kilku pomniejszych szczegółów z czasu pobytu w Genewie państwa *** i Mickiewicza ze mną.

Na str. 470, autorka *Kroniki* mówi o Zygmuncie Krasińskim i o nas w ten sposób, jakoby on znał się już z domem państwa ***, przed powrotem naszym z podróży pieszej w Alpach Berneńskich; kiedy przeciwnie, on razem z nami całą tę podróż odbywał, a za

powrotem dopiero ja pierwszy zapoznałem go z państwem ***. Szczegół ten czuję się w obowiązku sprostować tém bardziej, że sam kiedyś na inném miejscu szerzej o téj podróży pomówić zamierzam. Zygmunt K. bawił już może od roku w Genewie, gdyśmy przybyli tam dnia pierwszego sierpnia 1830 roku, idąc pieszo z Medyolanu przez Simplon. Po kilkudniowym odpoczynku wybieraliśmy się w dalszą podróż piechotą w Alpy Berneńskie, gdzie się także wybierał i Zygmunt; tylko, że *marszeruta* jego, zatwierdzona już listem przez ojca, była w kierunku wręcz przeciwnym naszemu. Rzecz bardzo naturalna, że i on i my także chcieliśmy raczej podróżować razem; ale trzeba było przełamać naprzód opór szanownego jego mentora, p. Jakubowskiego, który choć sam był twórcą swego planu podróży, ale po zatwierdzeniu go przez Generała, sam już przemieniać go nie chciał. Po długich rokowaniach i prośbach stanęło nakoniec na tém, że Adam napisał list do wspólnego przyjaciela naszego Waleryana Krasieńskiego, a ja do samego Generała, przepraszając go za zmianę z naszej przyczyny marszeruty Zygmunta, który w ten sposób stał się naszym towarzyszem podróży.

Podróż ta trwała całe trzy tygodnie, od 14 sierpnia do 4-go września 1830 roku, a ja przy samém jéj zaczęciu o małym się nie utopił w Lemanie, i to wprost z łaski Ewuni. Mówię téż tu o tém dla tego tylko, że to ma związek z jéj sprawą, i że ją w pewnym względzie rozjaśnia. Ze *Zwierzeń Ewuni* wiadomo, że państwo ***, opuściwszy Rzym z zamiarem wracania do kraju, w drodze zmienili projekt i udali się do Paryża. Zawiadomiony o tém Mickiewicz, prosił o napisanie ztamtąd *poste restante* do Genewy, i zaledwośmy tam przybyli, wyprawił mnie po list na pocztę. Tymczasem listu nie było, a zaszkłe w końcu lipca wypadki w Paryżu, tak wzmogły jego niepokój o los rodziny państwa ***, że to wyraźnie oddziaływało na zdrowie i opóźniło najmniej o tydzień wyprawę naszą w góry. Codzień po dwakroć na przemian dowiadywaliśmy się na pocztę, i zawsze równie na próżno. W sam dzień wyjazdu Adam poszedł raz jeszcze, zostawiwszy mnie z rzeczami na statku parowym, na którym mieliśmy płynąć do Vevay. Zajęty zdaniem tych rzeczy, nie dostrzegłem jak wrócił i wszedł do kajuty. Tymczasem zadzwoniono raz pierwszy i drugi. Nie wiedząc co mam począć, czy iść go szukać, czy odpłynąć bez niego, machinalnie wybiegłem na brzeg. Wtém zadzwoniono raz trzeci, i w téjże chwili Adam wyszedłszy z kajuty ukazał się na pokładzie. Był blady i zmieniony okropnie; zgadłem że listu nie było. Chciałem wracać — ale już statek poruszać się zaczął, i co gorsza ściągnięto deski, które go z brzegiem łączyły. Szczęściem Zygmunt znał kapitana, który na prośbę jego kazał zwiesić z pokładu jakieś drewniane wschodki, czy drabinę, na które ja wprost z mostku przybrzeżnego skoczyłem, i za pomocą podanej mi ręki Zygmunta i jego kamerdynera Jana, szczęśliwie dostałem się na pokład. Ale dość się było usiłować, aby wpaść do jeziora, pod statek.

Pozostają mi jeszcze do sprostowania dwie rzeczy, o toalecie i zegarku Adama. Ze słów szanownej autorki *Kroniki*, czytelnik mógłby mylnie wnioskować, że się Mickiewicz *elegantował* dla przypodobania Ewuni, albo że kazał wyryć swój herb na zegarku, dla *zaimponowania* hrabiemu. Oto są owe słowa:

„Ewunia spozrzęga wielką zmianę w jego powierzchowności. Dotąd zaniedbany cokolwiek w ubraniu, teraz nadzwyczaj był staranny, prawie wytworny. W Genewie, kraju zegarmistrzów, kupił piękny zegarek; kazał na nim wyryć herb *Poraj*, ozdobiony mitrą książęcą. (Mickiewiczze mają mitrę w swym herbie). Oglądali wszyscy ten zegarek, oglądał i hrabia. Może być, że Adam chciał tym sposobem przypomnieć, że *Poraj* ma prawo stanąć w parze z *Habdankiem*.” (Herb państwa ***).

Otóż mam za obowiązek oświadczyć, że w tych słowach jest razem i najzupełniejsza prawda, i największa nieprawda; prawda co do samych faktów, nieprawda, co do ich znaczenia. A oto jak się rzecz miała.

Adam przez całą pierwszą zimę w Rzymie chodził w tém samym ubraniu, które przywiózł z sobą z Petersburga. Było ono porządne i czyste, ale nakoniec ku wiośnie zaczęło potrzebować odmiany. Adam chciał to skutecznie zaraz w Neapolu, gdzie się finanse jego zapomogły znacznie. Odwiodłem go od tego argumentując logicznie: naprzód, że nowe odzienie nie jest potrzebne do podróży po górach szwajcarskich latem; powtóre, że sukna francuzkie lepsze są od włoskich, i nakoniec potrzecie, że po rozstaniu się ze mną w Genewie, będzie dość miejsca w tłómoku na pomieszczenie tej nowej odzieży, na którąby teraz trzeba było nowy tłóмок kupować, i transport jego w dyliżansach opłacać. Za przybyciem więc naszym do Genewy, p. Symon Klustin, dobry nasz znajomy, a przytém sam wielki elegant, zajął się tym sprawunkiem Adama, podobnie jak siostra jego, panna Anastazyja (późniejsza hrabina Circourt), przyjaciółka i korespondentka wszystkich najznakomitszych podówczas w Europie poetów, artystów i uczonych, zwana przez nich dziesiątą muzą, a szczerą wielbicielką Adama, zajęła się wyborem zegarka u znajomego sobie zegarmistrza. Ale to wszystko było wtedy, kiedy się nam jeszcze ani śniło o spotkaniu się z państwem *** w Genewie. List samój pani hrabiny, donoszący o tém Adamowi, otrzymał on dopiero w Lucernie, gdzie mu go panna Anastazyja odesłała z Genewy, a w ślad za tém sama do Bernu o nastąpiącym już przybyciu państwa *** doniosła. Rzecz zatem bardzo naturalna, że *Ewunia* za pierwszym spotkaniem mogła być uderzona tą zmianą w toalecie Adama, a jest to już podobno w naturze wszystkich na świecie panienek, że wszystko w wielbicielach swoich lubią odnosić i stosować wyłącznie do siebie. Co zaś do herbu, ten, zamiast cyfry, doradziła panna Anastazyja, a wyryty on został podług starej pieczętki, którą Adam miał jako pamiątkę po ojcu, i która sama zapewne musiała być podług herbarza. Że mitra mogła zwrócić czyjąś uwagę, nie idzie zatem, ażeby sam *Poraj*

przywiązywał do niej jakie znaczenie, tém bardziej, że mitry podobne (nie książęce państwa rzymskiego, ale *kniaziowskie*), mają herby wielu bardzo rodzin litewskich.

A teraz skończywszy sprostowania, które miałem sobie za obowiązek, pozwolisz panie redaktorze, że dołączę tu jeszcze krótki dodatek, to jest opowiadzenie faktu, mającego związek z poprzedniem, a który nie będzie zapewne bez interesu dla przyjaciół i wielbicieli autora *Irydyona*. Świadkiem, a raczej współbohaterem jego, był mieszkający obecnie w Warszawie pan hr. August Zamoy-ski, przyjaciel i kolega ówczesny Zygmunta Krasińskiego w Gene-wie. Wpływ téj wzajemnej przyjaźni, miarkując w wielu razach zbyt niemiłosiernie poetycznej fantazyi Zygmunta, nie mniej téż często przyjaciela jego do udziału w jéj pomysłach pociągał. Otóż Zygmunt K. na uczenie państwa^{***}, w których domu wraz z nami był codziennym gościem, na kilka dni przed ich odjazdem z Gene-wy, umyślił wyprawić dla nich fajerwerk na jeziorze. Było to dnia 3 października 1830 roku, w niedzielę. Czas był prześliczny, błękit nieba bez chmury, księżyc świecił w pełnej pogodzie, jezioro było ciche i gładkie jak zwierciadło. Towarzystwo złożone z około dwudziestu osób, dam i mężczyzn, w dwóch dużych barkach, z przywiązaną do jednéj z nich własną łódką Zygmunta K., mieszczącą w sobie fajerwerki, odbyło naprzód dość długą przejażdżkę po jeziorze; poczem dwaj młodzi przyjaciele, przesiadłszy się do owéj łódki, odpłynęli na pewną odległość i rozpoczęli spektakl. Kilka rac wyleciało wspaniale; kilka *świec rzymskich* z gwiazdami dopaliło się szczęśliwie do końca; aż nareszcie fatalny *młyn*ek zatrząsł iskrę do środka łódki i zapalił złożoną w niej na dnie resztę pyrotechnicznych przyrządów. Szczęściem nie wszystkie zajęły się od razu, a massa fajerwerkowa paliła się bez gwałtownych wybuchów. Zawsze jednak płomień i iskry buchały kłębam i z dna łódki, a na ich tle, obaj nieustraszeni bohaterowie téj sceny, podskakując co chwila do góry, porywali gołemi rękami i wyrzucali do wody zatłone już race i świece, przyczém wkrótce pan August musiał także rzucić na wodę zwierzchnie swoje ubranie, które na nim palić się zaczęło. Między fajerwerkami był *burak*, to jest puszka z blachy żelaznej, zawierająca szmermele, mające tworzyć przy końcu tak zwany *bukiet*, koronę widowiska. Gdyby ogień dosięgnął *buraka*, wybuch jego rozsądziłby łódkę. Wiedząc o tém i ja i Adam, nim barki ku niéj zdołały dopłynąć, wołaliśmy co siły z daleka: „burak! burak!” Pan August z blizka powtarzał toż samo, radząc co prędzej wrzucić go do wody. Ale pan Zygmunt o tém ani słyszeć nie chciał. Okrył go tylko swoim zwierzchniém odzieniem, a połączonym usiłowaniami obu młodych przyjaciół udało się nakoniec, jakkolwiek z popaleniem rąk i odzieży, nim barki na pomoc zdążyły, powyrzucić do wody wszystkie sztuki ogniem zajęte. Burak tylko pozostał nietknięty. Wszystkie damy błagalnym chórem, wszyscy starsi poważną radą, starali się zapobiedz wypuszczeniu jego; ale wszystko było napróżno. Łódka odbiegła szybko od natrętnych doradców;

a świetny i płomienisty wulkan gwiazd i szmermelów, uwieńczył powodzeniem niefortunną z razu przygodę. „*Finis coronat opus!*” Temi słowy tryumfujący p. Zygmunt powitał uspokojonych widzów, którzy ich obu jeżeli nie laurem, to przynajmniej szalami i płaszcza-
mi okryli.

P. S. Na tądanie przebywającej obecnie w Warszawie córki Adama Mickiewicza, pani Maryi Goreckiej, dodaję tu jeszcze jedno sprostowanie, z powodu wzmianki w téjże *Kronice Zagranicznej* o małżeństwie jęj rodziców, będącej mniej więcej powtórzeniem innych téż o tém wspomnień i relacyj, ogłoszonych gdzieindziej. We wszystkich ziarnko rzeczywistej prawdy tak jest przysypane błędnymi szczegółami, że przez to i cała rzecz sama w mylnem przedstawia się świetle. Zamiast więc prostować je pojedynczo, opowiadam jak było w istocie.

Pan Franciszek Malewski, nie *znajomy tylko oddawna* Adama, ale jeden z jego najbliższych od młodości przyjaciół; któremu on, między innymi, poświęcił pierwsze poezye swoje; który był nieodstępny jego towarzyszem i współmieszkańcem w Odessie, Moskwie i Petersburgu; p. Franciszek Malewski, po śnieri pani Maryi Szymanowskiej, ożenił się w Petersburgu ze starszą jęj córką Heleną. Po urodzeniu się pierwszego dziecka, rodzice zaprosili Adama aby je trzymał do chrztu, przez prokuracyą, w parze z panną Celiną. Zastępcą jego był dawny kolega uniwers., p. Stanisław Morawski. On to—nie sam Malewski, który za życia Adama nigdy w Paryżu nie był, i po rozstaniu się w Petersburgu w r. 1829, już się z nim więcej nie widział; on to przybywszy do Paryża w końcu roku 1833 i opowiadając Adamowi o tym obrzędzie, powiedział *rzeczywiście*, że mu podczas niego przychodziło na myśl, jakby to było dobrze, żeby sam Adam kiedyś stanął przed ołtarz w parze z piękną swoją kumą.” Mickiewicz *rzeczywiście* odpowiedział mu na to z uśmiechem: „Ha! gdyby tutaj była, to kto wie?” Słowa te p. Morawski, za powrotem do Petersburga, powtórzył *rzeczywiście* państwu Malewskim, i oni *rzeczywiście* przesłali je siostrze, która już wtedy mieszkała przy krewnych swoich w Warszawie. Ale panna Celina odebrała je dopiero i właśnie wtenczas, kiedy już z innych powodów była prawie na wyjeździe w podróż do Paryża. Towarzyszyła w nią bowiem krewnęj swojej, pani Guerin, udającej się tamże w interesach własnych. Nie w skutek więc tych słów Adama „*wyprowadzono Celinę do Paryża*”, jak się szanowna autorka *Kroniki Zagranicznej* wyraża, ani téż nikt téj rzeczy z góry „*nie ukartował w kraju*”, jak mówi p. L. Siemieński w życiorysie Adama, a coś i ty sam, szanowny redaktorze, we wstępie do Merzbachowskiej edycyi dzieł jego powtórzył. P. Siemieński zaraz wprawdzie dodaje: „*żona śmierć i żona, od Boga przeznaczona*.” Ale jeśli w tym razie sam zbieg okoliczności usprawiedliwia niejako to przysłowie; to czyliż w samym tym zbiegu nie należy dopatrzeć raczej wskazówki woli

Opatrzności, niż tylko skutku rachub czy układów ludzkich? Wiem to wszystko z ust samego p. Stanisława Morawskiego, który był w Dreźnie wracając z Paryża, i z ust samej panny Celiny, która też przez dni kilka w tém mieście, razem z krewną, w przejeździe do Paryża bawiła. Przybyła zaś tam przez Wrocław, nie *wstępując bynajmniej do Krakowa*. Jakie mogła mieć w sercu tajemne nadzieje, może nawet z powodu owych słów Adama; o tém nie wiedział i nie mógł wiedzieć nikt, prócz chyba, komu je sama chciała przez przyjaźń powierzyć. Ja pierwszy zawiadomiłem listem Adama o blizkim jéj przyjeździe z Dreznia, o czém przedtém zgoła nie wiedział; a w ogłoszonych drukiem listach jego do mnie, znajdują się dalsze szczegóły o zawarciu małżeństwa, które nie pierwéj, nie z góry, lecz się dopióro ułożyło w Paryżu. Tu jeszcze i to dodać należy, że Adam wyjeżdżając z Petersburga w roku 1829 nie zostawił panny Celiny ani „dzieckiem”, ani „dziewczątkiem,” ale już siedemnastoletnią i rzeczywiście „prześliczną” (jak mówi p. Siemieński) panienką. W pierwszych moich „Listach z Podróży,” pisanych z Petersburga do Juliana Korsaka, znajduje się opisanie ostatniego wieczoru, który Adam z nią przed wyjazdem w domu jéj matki przepędził. (*Kronika Rodzinna, Rok pierwszy, Nr 6*).

A. E. O.

